

Odezwał się kumak w niedalekich nadwarciańskich szuwarach, po nim drugi, ale wkrótce szybko wszystkie żaby ucichły. W ich miejsce dał się słyszeć stukot podbitych stałą butów, może rycerskich czy wojskowych, który odbijał się od pojedynczych kamieni starego bruku. Tężał on, to znów cichł, jakby przybysze nie wiedzieli, w którą stronę pójść. Wenecjanin nie miał zbytnio gdzie się schować, więc przywarł do starej wierzby rozplątanej niemal na dwoje uderzeniem dawnego pioruna i nasłuchiwał. Naprężył mięśnie policzków i skórę czoła w nasłuchiowaniu. Nie było już jednak konduktu, szlochu płaczek, nie było też stukotu obcasów. Zrobiło się niezwykle cicho, jakby noc wymiotła wszystkie istoty żywe i większość tych już nieżywych.

Intruz ledwo odsunął się od drzewa, ale zanim starł resztki kory z policzka, poczuł na nim chłód. Takie zimno dawała jedynie stal wykuta na gładko przez płatnerzy. Z łatwością przecięła mu skórę twarzy, choć ledwie ją tknęła. Nim zdołał wziąć głębszy dech, dotarła do szyi i zanurzyła się w nią, a czyjaś ręka obmacała jego pas w poszukiwaniu sakiewki. Lorenzo zacharczał w poczuciu, że z nożem na gardle nader trudno wyrzec mu hasło podane przez kata Kąsieję.

– Okesz... Oksza! – wydusił z siebie nareszcie.

A stal w mig przestała się zagłębiać. Krople krwi, które utoczyła z szyi, spadły wraz z deszczem i rozpląły się w kałużach, ale broń znieruchomiła. Nie cięła już więcej.

– Oksza – wyszeptał Zeno ponownie, ale ostrze nadal nie drgnęło.

Płomykówka odważyła się huknąć, a wraz z nim nadeszło w odzewie:

– Pohybel.

Usłyszał je wyraźnie za sobą. Po czym jeszcze jedno zdanie po polsku, którego nie zrozumiał.

– In Latinam! – szepnął z prośbą, by mówić do niego po łacinie.

Gęba, która się wówczas nad nim pochyliła, nie była może jakoś przerażająco szpetna, ale znajdowało się w niej coś osobliwego i groźnego. Rozciągnięty podbródek poharatany chyba kiedyś

przez jakieś kolce albo przez półprzytomnego cyrulika, wyglądał dość osobliwie. Przysunął się na tyle blisko, że Zeno dobrze widział także lodowate oczy o barwie, jaką mieć może kwitnący w czerwcu jaskier. Oczy sowie albo rysie.

Zwierz to, demon czy prawdziwy człowiek? – pomyślał Wencjanin, a wtedy wyłonił się jeszcze jeden osobnik. I kolejny, wreszcie także czwarty. Wszyscy wyszli z ciemności po cichu, bez szmeru. Wszyscy w pelerynach, z twarzami pokrytymi cieniem i ledwie widocznymi, dwóch bez choćby nędznej, przydatnej w deszczu czapki, jeden zaś w dziwnym, stalowym hełmie nie z tej epoki. Pewnie przed stu, może dwustu laty popularne były takie kapelusze o szerokim rondzie i dzwonie spłaszczonym jak po uderzeniu wielkiego młota czy kamienia. Ten, który pierwszy dobył noża, miał twarz owiniętą czarnym, a może po prostu utyłanym chaperonem z cienkim i długim kapiszonem, który odwijał się, gdy przekręcił szyję, odsłaniając ją całą w szramach i rzadkich włosach.

Przekręcił głowę, by odpowiedzieć na wezwanie jednego z kamratów.

– Zarżnijmy tego pociota, na cóż czekamy? Chujec jeszcze ubieży. Utooczmy mu juchy, niech zdycha – rzekł jeden z nich.

Lorenzo nie miał wątpliwości, że język polski brzmi jak nawoływanie derkacza w szuwarach albo jakby praczka podczas przepierki paznokciem zawadzała o tarę. Nie był w stanie rozpoznać, że tu o jego życiu charczą.

– Zamknij mordę, tłuku! Podał hasło, kurwi syn... – syknął, a po chwili dodał: – Skoro wielmożny pan zna hasło, pozostaje nam go wysłuchać. Zwłaszcza że podał je w momencie, gdy zamierzałem już rozplatać mu gardło. Słuchamy zatem pełni niepokoju, co też za prośby zamierzacie nam przedstawić. Oby ich ranga przykryła żal z powodu cofnięcia noża.